

Dorota Grzymała

Godło: MIEDZA

Rozmowa

Bo widzi pan, mnie się zdaje, że ja mam na imię Matka. Kilka miesięcy po ślubie, jakem zaplotła ręce na podołku, poczułam, że coś się zmienia. Domyślałam się, co się dzieje. Kiedy powiedziałam o tym mężowi, on tylko pokiwał głową i wtedy pierwszy raz tak mnie nazwał - matka - zamamrotał pod nosem uśmiechając się lekko. I później już tylko tak do mnie mówił. Jak syn był mały i się go pytali jak ojciec ma na imię, to mówił imię ojca, a jak o mnie, to że mama. Mówi pan, że każde dziecko tak? Możliwe. Ale ja nie czuję, żebym tylko matką całe życie była. Kim więcej to też nie wiem. Siedzi jednak we mnie gorycz, że już ponad pół życia tylko matka i matka. A wie pan, że nawet kiedy już zostaliśmy sami, po tym jak się syn do miasta wyprowadził, to wciąż szeptaliśmy do siebie rano w łóżku: wstawaj ojciec, wstawaj matka. Chłopy to tylko między sobą o swoich żonach baba mówią. Nie ma się co oburzać, czasem ten, co o swojej mówi moja małżonka jest dla niej gorszy od tego, co na swoją woła baba.

Może to grzech tak to wszystko mówić. Bo widzi pan, ja prosta chłopka jestem, ale swój pomysłuńek mam. Dużo, oj dużo kobieta

ma czasu, żeby sobie pomyśleć. A to jak dziecko przy piersi, a to kiedy ciasto drożdżowe wyrabia, kiedy podłogę myje, czy w ogrodzie piekę lub szatkuję kapustę do kiszenia. Ja wiem, mój to zawsze myślał, że się tylko modlę. I prawda, odmówiłam tych różańców co nie miara, czasem nawet tak się rozmodliłam, że pacierze szły jedną drogą, a moje myśli drugą, obok. I wie pan, tak sobie wyrozumowałam, że mówi się, że najważniejszy w chałupie jest gospodarz. Ale to gospodyni wstaje najpierwsza. W czasie kiedy on oszukuje Boga mamrocząc niby pacierze, choć tak naprawdę jeszcze dosypia, ona po samym "W imię ojca i Syna i Ducha Świętego...", nucąc "Kiedy ranne wstają zorze", decyduje o całym dniu. I mimo, że najważniejszy jest gospodarz, to przecież gospodyni gasi światło i kładzie się spać ostatnia. I śpi najkrócej.

Pyta się pan, czy jestem tutejsza. Za mężem tu przyszedłam na gospodarkę. Prawdziwą gospodynią się poczułam, jak pierwszy raz w kuchni napaliłam. Zrobiłam kawę zbożową i placków ziemniaczanych nasmażyłam na śniadanie, a mąż, pamiętam to jak dziś, wrócił z porannych obrządków i powiedział: No nic. Trzeba będzie ściąć tę jabłonkę. I odtąd już tylko życie nas zajmowało. Tak, proszę pana, jestem tutejsza, ale nie jestem stąd. A mimo to szkoda mi było tej jabłonki, jakbym pod nią od dziecka przesiadywała. Ale sad cały mamy, to jednej jabłonki tak nie szkoda, choć trochę smutno. Jak był dobry rok i cena uczciwa, to raz mąż wracając ze skupu w mieście szczotkę do włosów mi kupił. Ale jaką! Piękna była, żłobienia takie miała zdobne,

wygodnie w dłoni leżała. Każdego wieczora przy piecu siadałam i zaraz po różańcu rozpuszczałam i czesałam tą szczotką włosy, moją jedyną pamiątkę młodości. A mąż i syn zerkali. Wiem, że zerkali, choć każdy udawał, że czym innym zajęty. Dobry prezent to taki, co tak samo cieszy obdarowanego i tego co ten podarunek wybrał, kupił i wręczył. Czasem to nawet myślałam, że mąż tę szczotkę to bardziej nawet dla własnej przyjemności kupił, niż dla mnie.

Ehhh, przeleciało to życie, przeleciało... I żalu nie ma, i wstydu też. Żoną, matką, gospodynią i kimś jeszcze czuję, że byłam, że jestem, ale nijak odgadnąć nie mogę kim.

*

Mówi pani, żali się, że matka tylko. Ale to nie ojciec, proszę pani, a matka robiła mi znak krzyża na czole, jak gdzieś na dłużej wybywałam. Czy to na pielgrzymkę, czy do wojska odsłużyć co trzeba. Pulsował mi ten krzyżyk matczyny i czułam, że mnie chroni bardziej niż ten medalik co go od komunii na łańcuszku na szyi noszę. Matuli rękami mi chleb zawsze pachniał, tak samo pościel świeżo wyprana i wymaglowana. I cała chałupa nasza skromna miała zapach matki, była matką. Jakiś czas po jej śmierci przestała nią pachnieć i przestała też nią być. Proszę mi wierzyć na słowo, że samym swoim byciem zrobiła pani więcej niż myśli.

Mówi pani, że stara już. Ano, wszyscy w tym samym kierunku idziemy. Mnie, nie wiedzieć kiedy też coraz więcej drzemek w

ciągu dnia się przytrafia. Jak to, jakie to ma znaczenie? Takie, że z wiekiem coraz dłużej się śpi, żeby do śmierci się przyzwyczajać. Te co sobie zajęć na siłę szukają, to tylko siebie oszukują, uciekają przed tym, co nieuchronne. I po lekarzach biegają, bo się na siebie tacy ostrożni raptem robią. A zwykle ci, co tak bardzo o siebie dbają umierają wcześniej. Pewnie przez to, że są bardziej delikatni. Chociaż ja to sobie myślę, że ich te leki wykańczają. Żeby brać leki to jednak trzeba mieć zdrowie.

A może pani uzdrowicielką była, tylko sama o tym nie wie? Pani pokaże ręce. Syn może tego nie powiedział, ale jak dziecko w gorączce pod pierzyną leży, to wystarczy, że matka dłoń do czoła przyłoży, a już jakby lepiej się robi. Tak samo jak brzuch boli, to do brzucha dotykając tylko matka ulgę przynieść może. Na ziołach się pani zna? O, to, proszę panią, kawał wiedzy! Niektóry medycynę skończy i nie wie tyle, co pani.

Makatki pani wyszywała? No to pani ma dar od Boga i na artystkę mianowana. Pan Bóg po wsiach dużo talentów porozdawał, ale ludzie czasu nie mieli nigdy, bo robotą zajęci, to też wielu artystów przepadło nie wiedząc nawet, że takie przeznaczenie mieli. Nie byłoby co na odpustach i jarmarkach kupować, gdyby co niektórzy się nie zawzięli i mimo, że się czasem z nich po domach podśmiewali, siadali i dłubali, to w drewnie kozikami, to w papierze z nożyczkami, albo jak pani, z igłą i nicią przy płótnie. Wszelka sztuka co we wsi powstała najlepsza, bo prosto z natury wywiedziona i sercem dyktowana. Życie, proszę panią, ze wsi w

ogóle pochodzi, bo czymże innym raj była, jak nie wsią właśnie?! Człowiek to na rolnika pomyślany był od początku. I na artystę przy okazji.

No i kto by przewidział, że w kościelnej ławie tak sobie można porozmawiać, konfesjonał mając za plecami. I że mnie tknęło w puściutkim kościele przysiąc przy pani. Może dlatego, że mi pani matkę przypomniała, ale niech się pani nie gniewa, że znów tylko matka i matka. Ale wie pani, mi matka lata temu umarła a z nią we mnie dziecko umarło. I jedyne czym jej mogłem się odwdzińczyć, to rodzinnym grobowcem i pamięcią, co prowadzi z kwiatami, zniczem i modlitwą na ten cmentarz przykościelny. Ile ja bym dał, żeby raz jeszcze ciasto drożdżowe poczuć. Żeby matka nas z bratem obsztorcowała coby nie biegać po chałupie, bo się ciasto wystraszy i nie wyrośnie. I żeby dłoń do czoła przytknęła... O, tak jak pani teraz... Takie dłonie to ucałować trzeba, więc niech mi pani pozwoli, że przed obliczem Matki naszej wspólnej, jedynej, najdoskonalszej, oddam pani hołd jak matce.

Słucham? A, o imię mnie pani pyta. Szymon się nazywam, Szymon.